

WIADOMOŚCI POLSKIE

PRENUMERATA.

Na rok. fr. 20
Na pół roku. . . . fr. 10
Na trzy miesiące. . . fr. 5
Dziennik wychodzi co tydzień,
W SOBOTE.

N^o 7.

DNIA 14 LUTEGO 1857 ROKU.

Wszelkie zgłoszenia się ty-
czące się prenumeraty lub nie-
odbierania niniejszego pisma,
tudzież przesyłanie pieniędzy,
mają być adressowane : à
M. J. Szezepanowski, 8, rue
Vaugirard, à Paris.

Kraków 1 lutego (Koresp.) Po kilkumiesięcznej podróży po królestwie polskiem, w ciągu której miałem sposobność przyjrzeć się na nowo niejednemu kółku jego machiny administracyjnej i zbliżyć się do wielu warstw naszego społeczeństwa, kiedy mi przychodziz dać przed sobą samym sprawę z tego com widział lub słyszał w tym kraju zaledwo o mil parę od nas odległym, a już jakoby obcym i podwójnym pasem straży granicznej oddzielonym, zaraz na wstępie nasuwa się wątpliwość, azali dobrze znam rzeczy o których chcę pisać, i czyli źródło moich wiadomości i fakta które się w pamięci zostały, mają tę autentyczność, jaką nacechowane być powinny, choć często nie są, wszelkie do was z kraju przesyłane doniesienia, właśnie dla tego że tak są rzadkie, trudne i prawie nieodwołalne. W innym kraju, pod innym rządem, mniej niż rossyjski lękającym się najniewinniejszego, jeśli tylko jest sumienny, objawu opinii publicznej, łatwiejby mógł poszukać w dziennikach krajowych stwierdzenia moich zdań. Ale w królestwie polskiem, w tém wszystkim co rządu dotyczy, zazwyczaj temu tylko wierzą, i trzeba wierzyć, co w kraju drukowanem niebyło.

Obok téj, dla sumiennego i niechęć zwozić korespondenta, niemałej trudności, mam jeszcze inne wstrzymujące mnie względy; które nakłada uczciwość nie tylko pisarza, lecz obywatela. Zabierając się do układania niniejszego listu, miałem w myśli mnóstwo interesujących i nader charakterystycznych wydarzeń. Lecz kiedym począł rozbiierać skąd o nich wiem i które osoby mogą znać te same co ja szczegóły, większą część moich doniesień przemazałem. Niechajże więc tym, co dziś wam posyłam, posłuży za usprawiedliwienie względ, że prawie wszystko co było w nich bardziej zajmującego, zostało w cenzurze mojej ostrożności.

O tém co na Wschodzie Polacy podczas wojny robili, nie prawie w królestwie, a mało więcej i u nas w Galicyi, wiadano. Rozchodziły się tylko głuche wieści o kozakach Sultańskich; na jakich zaś warunkach ten legion był formowany, jaka była jego liczba, czy cała emigracja korzystała z okazji która ję się nasunęła, nie pewnego niemówiono. Mogę atoli zaręczyć, że każdy w Polsce radby był widział naszych w jak największej liczbie po drugiej stronie Dunaju sformowanych. Nieprzeczę że i kraj mógł w tém dziele skuteczniej dopomódz; ale, zbyt często bywa to u nas, że nie każdy kto chce rzecz, chce zarazem i środków do niej prowadzących! Przyszły dopiero te myśli, kiedy już było za późno! Zazaz więc po podpisaniu pokoju, w całym kraju obudziły się wielkie nadzieje w przyjazd Cesarza Alexandra do Warszawy. Opierano je zaś, naprzód, na osobistym charakterze Cesarza, powtóre

na tajnych dodatkach, których się domyślano przy traktacie paryskim. Co do pierwszego, o ile słyszałem, Litwa mniej niż królestwo temu złudzeniu uległa; więcej bowiem niż w królestwie mają tam z Moskwą doświadczenia, więcej też zatarła się tam pamięć urządzeń, jakie przed rokiem 1831 w królestwie istniały. Niepotrzebuję wam mówić, że figury rządowe, tak w Warszawie jak po miastach gubernialnych, dokładały wszelkiego starania, ażeby przyjęcie Alexandra było najserdeczniejsze, zachęcając ogólnikami do niczego nieobowiązującami, a budzącymi mniemanie, że Cesarz odwziedzi serdeczność obywateli. Warto atoli wspomnieć o sposobach, których używano, głównie w celu iżby bal szlachecki w stolicy zebrał się świetny i liczny. Po wszystkich wsiach naczelnicy powiatów rozesłali urzędników dla zbierania składek, rozgłoszwszy wprzód, że niebędą przyjmowali ofiar niżej 10, a jak w innych guberniach, 20 rubli; przyjmowano je przecież i od takich co tylko rubla i mniej dali. Wezwania na bal rozsyłali Marszałkowie szlachty, w cyrkularzach urzędowych. Ażeby zatektać próżność wielu, polecono Marszałkom dawać każdemu dziedzicowi wsi tytuł : *Jaśnie Wielmożnego*, chociaż wedle prawa należy się on : w służbie cywilnej urzędnikom od stopnia Radcy Stanu, w wojskowej od stopnia Jenerała; z urzędników zaś obywatelskich tylko Marszałkom, Prezesom i, przez grzeczność, Sędziom pokoju ten tytuł przyznawają.

Przed samym przyjazdem Cesarzkim były rozmowy między szlachtą o punkta, które chcieli zamieścić w petycji. Między innemi postanowiono prosić o przywrócenie Uniwersytetu Warszawskiego, o przewagę języka polskiego w szkołach i biurach rządowych, o zniesienie podatków dodatkowych, wprowadzonych jakoby tymczasowie na kampanią węgierską, a do dziś dnia trwających. Niektórzy domagali się, aby dodać żądanie o wojsko polskie, przynajmniej kilkunastu tysięcy. Zaczynano już te punkta spisywać, kiedy ks. Gorczaków, przez swych zaufanych, kazał oznajmić, że Cesarz źleby przyjął żądania szlachty, że N. Pan więcej bezwątpienia zrobi, niżby obywatele mogli się opodziewać, ale chce aby to wyszło z jego inicjatywy; że Polacy, w własnym interesie, powinni Cesarzowi okazać bezwarunkową życzliwość i serdeczność, a źle na nią niewyjdą. Naówczas znaczna część szlachty pomyślała, że skoro niewolno przełożyć prośb swych i potrzeb kraju, to kiedy wszystko utracone, niechże przynajmniej część narodowa nieknięta zostanie, i postanowili, dopóki niebędzie wyraźnego zbliżenia się ze stroną Alexandra, niespieszyć się ku niemu. Ale trzeba powiedzieć, że niemała też liczba niezachwiana miała ufność w wspaniałomyślne uczucia Cesarzskie; przyjęto też Ale-

xandra przyjaźniej niż kiedykolwiek Cesarza Rosyjskiego od r. 1830 przyjmowano, i być może że gdyby Alexander z tego usposobienia był skorzystał, utrwaliby w swojej służbie tych, co pospieszili witac go w Warszawie.

Pierwsze recepcye odbyły się pod złą wróżbą. Cesarz Rosyjski, jak mówią, surowo odezwał się do duchowieństwa katolickiego, zarzucając mu brak gorliwości dla Rządu. Lepiej spodobalo się upomnienie jego dane Senatowi, który zgromił mówiąc, że względy osobiste wpływają na zdania senatorów. Były zaś przytomne w opinii publicznej dwa świeże przykłady: proces p. Br. i drugi pewnego wyższego urzędnika z ubogim poddanym pruskim, za którym Rząd pruski musiał się ująć, widząc go uciścionym decyzją Senatu ostateczną a według powszechnego rozumienia niesprawiedliwą. Nastąpił potem bal u Gorczakowa. Mowa Alexandra i zimne namiestnika zachowanie się ostudziły od razu gorące, w tych u których były nadzieje. Cesarskie « *point de réveries* » szlachta wytłumaczyła « *żadnych breweryj!* » Wiele obywatelstwa, zaraz po tej mowie, nieczekając balu szlacheckiego, rozjechało się na wieś. Wnet to oziębienie postrzegła policya warszawska, co sprawiło że na balu szlacheckim Cesarz, wraz z Ks. Olgą, pokazał się znacznie grzeczniejszym. Odzywał się do wielu osób, był uprzejmy, starał się być popularnym, mówił po polsku, chociaż jedna z dam, pani U, odpowiedziała mu po francuzku. Ze smutkiem także wspomnieć muszę, że niektóre rodziny przesadzały się w wystąpieniu na ten bal. Z dam polskich, zapewne chcąc przypodobać się opinii publicznej, najwięcej względów i poważania okazywał Cesarz dla pani A. P., która też może najwięcej z nich okazała godności. Między p. Muchanowem a panem hr. K. wybuchła rywalizacya o gospodarowanie na balu. Szlachta, choć w ogólności mało jest panu hr. K. przyjazną, wzięła przeciw jego stronę, upierając się, nierozumiem dla jakiej przyczyny, aby na tym balu Polak był gospodarzem.

Bal miejski nietylko był świetny, Cesarz też mniej okazał się rozmowny. Już sama szczupłość lokalu wymagała mniejszej liczby zaproszonych; tymczasem przekupstwo urzędników przeznaczonych do wpuszczania osób, stało się powodem nieznośnego tłoku. — O amnestyi wiele mówiono przed przyjazdem Cesarza; spodziewano się zwrotu dóbr, nieprzypuszczano wcale tak licznych wyjątków. Ukaz ten dopiero ogłoszony po balu szlacheckim, odjął resztę złudzeń i serdeczności, jeśli gdzie jeszcze była. Wytawali chcieli skłonić pana J. aby zrobił Cesarzowi stósowne w tym względzie przedstawienia; zapobiegł im wcześniej ks. Gorczaków. Tak więc nim Cesarz Rosyjski opuścił stolicę królestwa, szlachta w znacznej części rozjechała się, i rozwiały się owe serdeczne nadzieje, których tak wiele czyniono. W chwili odjazdu Alexandra usposobienie Warszawy było nieporównanie chłodniejsze, niż w pierwszych dniach jego pobytu. Aby przeszkodzić złemu wrażeniu, któreby z tego powodu po kraju i poza krajem mogło się rozejść, ukazało się w dziennikach warszawskich opowiadzenie tych kilku a « *szczęśliwych dni stolicy.* » Lecz i ten środek niewiele pomógł.

Teraz wypada mi pokrótce opowiedzieć jakie rzeczywiście otrzymało królestwo z tyłu i tak długo zapowiadanych reform. W początkach ubiegłego roku przyjechał do Warszawy J. Uxkull, rodem Estończyk, przeznaczony na pre-

zesa komitetu do oczyszczowania włościan. Do tegoż komitetu wszedł pan Gumiński Dyrektor wydziału dóbr i lasów, nadto jeden z wyższych urzędników komisyi sprawiedliwości i kilku niższych z komisyi skarbu i spraw wewnętrznych. Jt. Uxkull miał tę dobrą stronę, że chociaż z służby wojskowej przeniesionym był do zupełnie odmiennych czynności, nieprzystąpił od razu i gwałtownie do reform, ale (wbrew tradycjom urzędników rosyjskich) chciał pierwój poznać rzecz, a co dziwniejsza, zgodził się nawet, że do ostatecznego przeprowadzenia projektu potrzebnym być może udział właścicieli ziemskich. Jakim będzie ten projekt, dotąd niewiadomo; zdaje się jednak że nieprzyjmą tam w oczyszczowaniu zasady bezwzględnej i wszędzie jednostajnej, ale że ona ulegnie pewnym modyfikacyom odpowiednio do warunków miejscowych i zwyczajów zachowywanych w różnych powiatach. Z dotychczasowych przykładów oczyszczowania dobrze można wróżyć dla tej reformy. Już w opinii publicznej i w stosunku rolniczym zużyła się do reszty pańszczyzna; zwolna, za postępem gospodarstwa i oświaty, bez krzyków, groźb i reform radykalnych kraj wstrząsających, ogromna większość obywateli królestwa przekonała się o naglącej konieczności oczyszczowania włościan. Idzie tylko o to, aby w tém tak wielkiem dziele Rząd rosyjski kierował się względami pożytku krajowego, produkcji rolniczej i dobra mieszkańców, nie zaś brzydką i nikczemną myślą rozniecania zawiści między różnemi warstwami społeczeństwa. Był czas że Cesarz Mikołaj zdawał się zazdrościć polityce swego sąsiada. Jeszcze nikomu niewyszedł z pamięci ów ukaz z r. 1846 o zniesieniu daremszczyzn. Brzmi on tak jakby był narzucony szlachcie, wbrew jej woli, a wyszedł tylko z troskliwości rządu o los chłopów. Dopiął też tego celu choć na krótko, podrażniwszy namiętności włościan, mianowicie w guberniach nadgranicznych, nieuspokojone jeszcze po świeżych w owym czasie wypadkach, które prowincyą naszą krwią zboczyły.

Najwyraźniejszą dotąd z reform, i którą tak prowincye zabrane jak królestwo przyjęły z prawdziwą radością, jest ta, że Rząd zwrócił nareszcie uwagę na straszliwą, a za ks. Paszkiewicza tolerowaną i prawie ośmielaną przedajność urzędników. Wzrosła ona do takich rozmiarów, że w żadnej literalnie sprawie administracyjnej, a nawet sądowej, niemożna było bez zapłacenia tych panów rachować na sprawiedliwą decyzją, często nawet doczekać się jakiegokolwiek. To ulepszenie przedewszystkiem trzeba przypisać Alexandrowi. W Litwie usunął on obu « strasznych » Bibikowów, w Petersburgu słynnego ze swych kradzieży Dyrektora komunikacyi wodnych i lądowych Kleinmichela. Jednak i ks. Gorczaków wpłynął niemało na oczyszczenie administracyi królestwa z tej fatalnej zarazy. Trzeba oddać sprawiedliwość nowemu namiestnikowi, że przedewszystkiem, lecz może i wyłącznie, szuka w urzędniku prawości charakteru, a skoro tę znajdzie, już do wszelkiej jakiegobądź administracyi sądzi go być zdolnym. Przed jego nominacyą, znano go w królestwie z tego tylko, że systematycznie nieprzyjazny był wszystkiemu, co polskie. Chcąc w części zmazać ten zarzut, dał się słyszeć, iż cieszy się że mu oddano zarząd królestwa, umie bowiem cenić liczne dobre strony Polaków; wymienił przytém usługi Jłłw Niepokojczyckiego,

Sierżputowskiego i innych, którzy mu rzeczywiście byli pomocnymi w Krymie!

Pierwszą mniéj szczęśliwą kreacyą ks. Gorczakowa był p. Muchanow, dawniejszy pułkownik gwardyi, następnie kurator okręgu nauk. warszawskiego, dziś jakoby Minister spraw wewnętrznych, oświecenia i duchownych. Poprzednikiem jego był Wikiński, Moskał, który oddawszy pewne usługi ks. Paszkiewiczowi, raptownie do tak wysokiego urzędu był podniesiony; człowiek dziwnie ograniczony, przedajny, i nałogowy pijak; gardzili też nim sami Moskale. Nominacya p. Muchanowa jest postępem, bo chociaż niewiele więcej umie on od swego poprzednika, jednak niemożna mu zarzucić przedajności. Za czasów jego zarządu w okręgu naukowym, najniezwyklejsza kasta naszych urzędników, professorowie znali go z zabawnéj często próżności, i z wielkiéj, jak na dawnego pułkownika przystało troskliwości, o krój mundurków dla uczniów, guziki, czupryny krótko ostrzyżone i t. p. W wykład nauk niewglądał, bo się na tém nic prawie nierozumiał. Cokolwiek bądź, p. Muchanow zostaje przy Dyrekcyi kommissyi spraw wewn., ale domyślają się że go ktoś w okręgu naukowym zastąpi. Bodajby tylko ten przyszły kurator naukowy niebył znowu ex-pułkownikiem żandarmeryi lub gwardyi, i bodajby najważniejsze i najtrudniejsze urzędy w królestwie polskiem niesłużyły jak dotąd za emeryturę ludziom zużytem na musztrach wojskowych lub w służbie policyjnej rossyjskiéj.

Z oddaleniem Wikińskiego, dzięki nowemu namiestnikowi, odsunięto z komissyi spraw wewn. kilku zniesławionych wyższych urzędników, w których miejsce zamianowano Dyrektorem wydziału przemysłu byłego Gubernatora wołyńskiego, a Dyrektorem wydziału spraw duchownych p. Solnickiego, człowieka znanego zarówno z zacności charakteru jak i z usposobienia fachowego. Dzięki wojnie wypowiedzianej systemowi przedajności musiały także w znacznej części wypróżnić się więzienia cytadeli warszawskiéj; ustały zatem spekulacye urzędników komissyi śledczéj, często dla tego tylko aresztujących, że któryś z nich zeszléj nocy zgrał się w karty, lub chciał sobie zapewnić miłość zgrabnéj baletniczki. Niemniej jednak siedzą dotąd więźniowie polityczni w Zamościu i Modlinie; dawniej skazanych doszły ulaskawienia bardzo wyjątkowe i obciążone warunkami. Do powyżéj wyliczonych zmian urzędników, z których można się spodziewać jakiegóś korzyści dla królestwa, trzeba przydać zniesienie uciążliwéj opłaty paszportowéj, z którój miasto nasze mogłoby korzystać, i odnowiłyby się może nie tak dawne Krakowa z sąsiednimi powiatami stosunki, gdyby w tutejszym rządzie więcej było dbałości o los biednego miasta, i gdyby niemiłosiernie opłaty celne niestawały na przekór wszelkim obrotom handlowym, które przemycaniem niechęć się posługiwać. Mówią także że królestwo ma otrzymać wydział medyczny w Warszawie. W rzeczach kościoła istnieją dotąd wszystkie tak srogie ukazy i wolność sumienia tak mocno obrażające. Z ulepszeń w téj gałęzi poczynionych jest do zacytowania nominacya trzech Biskupów. A i w tym nawet razie, może z wyjątkiem jednego, nietrudno byłoby przy trochę dobrej woli i przy mniejszój troskliwości o powolność kandydatów, postarać się o szczęśliwsze wybory.—Dycezya krakowska czy kielecka, (niewiem jak ją nazywać), pozbawiona jest od tylu

lat swojego pasterza; obejmowała ona poprzednio Wolne Miasto i województwo krakowskie. Dzisiaj gdy ani jeden, ani drugi rząd niechce się zgodzić aby biskup jednego państwa, w drugim miał swoją rezydencyą, niewiedzieć kiedy i w jaki sposób weźmie koniec to zbyt długo trwające prowizoryum.

Niepowinienbym zapewne kończyć tego listu bez dodania kilku słów o naszym starym, poczciwym grodzie. Lecz cóż o nim pisać? Macie zapewne tutejsze dzienniki i wiecie że niebogie są w domowe szczegóły. Było tu kiedyś życie, był ruch, chociaż zazdrosna ciśniona zawsze ręką. Dzisiaj kto Krakowa, od lat kilku niewidział, niepoznałby go wcale. Zmienił się, powiedziałbym zestarzał, a wpływ atmosfery tutejszego rządu tak jest silny, że dawna królów polskich stolica niebawem tak się wydawać będzie, jakby była umyślnie zbudowaną na mieszkanie austriackich bióralistów. Taki tu smutek, takie odrętwienie, tém opłakańsze, że gdy niemieccy goście, licznie w ostatnich czasach przybyli, trzymają się razem i żyją wspólnie; polscy mieszkańcy żyją każdy osobno, rozbici na koterye, rozdzieleni drobnymi zawiściami, chociaż Bóg widzi niema do nich powodu. Gdyby się lepiej znali, a przynajmniej gdyby się więcej do siebie zbliżyli, ustałyby te wszystkie niepotrzebne i wszystkim szkodliwe niechęci.

Wpadł w moje ręce temi dniami, niewiem jakim sposobem zablakany tutaj, jeden numer waszego pisma, a w nim wyczytałem dość cierpkie uwagi nad czynioną tu próbą zawiązania jakichś *Wieczorów literackich*. My nie bawić się chcemy literackimi popisami, ale pragnęlibyśmy wydobyć się jakimbądź sposobem z téj samotności która każdego z nas usypia i dusi. Bo wreszcie gdyby i ku szlachetnej zabawie można zgromadzić pewne koło, i ludzi skłonić aby przynajmniej widywali się i z sobą rozmawiali, cóżkolwiek na to powiecie, ja to nazwę korzyścią! Chciejcie wybaczyć żem w piéwszym zaraz liście upomniał się o to, w czém według mnie niebyliście dosyć dla nas wyrozumiali.

Korespondent Stambulski *Debatów* pisze z d. 2 lutego:

Doniosłem poprzednio, że zawartą została między Turcyą a Grecyą umowa, w celu poskromienia łupieżstwa, obowiązująca te dwa mocarstwa do użycia dla straży granicznej wojsk regularnych, i że Porta zamierzała poruczyć tę służbę Sadykowi Paszy (Jenerałowi Czajkowskiemu), dowódcy Kozaków sultańskich. Rozporządzenie to zostało ostatecznie przyjętem. Sadyk Pasza będzie miał naczelną komendę granicy tureckiej w Epirze i Tessalii. Zostający pod jego rozkazami pułk kozaków, który znaczne oddał usługi nad Dunajem w ostatniej wojnie a obecnie stoi zalogą w Islimie, odebrał już rozkaz udać się lądem do Tessalii. Sadyk Pasza otrzymał upoważnienie wystawić nowy pułk uzbrojony w karabiny i mający pełnić służbę zarazem konną jak pieszą. Część żołnierzy i oficerów rozwiązanych formacyi angielskich weszła już do tego pułku, który szybko wzrasta. Postanowienie to jest wyborne. Oddając straż graniczną wojskom chrześcijańskim, odejmuje się Grekom pozór utyskiwania na barbarzyństwo i uciemiężenia Turków, kiedy w istocie, trzeba było tylko żalić się na ich brak energii. Z drugiej strony, Sadyk Pasza, jako człowiek rzadkiéj sprężystości, poskromi, jak się spodziewamy, rozboje i złupieństwa je wyępli.

PRZEGLĄD PISMIENICTWA.

Czasem najcelniejsi z pomiędzy naszych pisarzy krajowych, znużeni i zrażeni pełnym gwaru, a czcym i poziomo wirującym ruchem piśmiennictwa, wołają niemal w rozpacz, że to nielada zadanie powiedzieć, co się dziś u nas z literaturą dzieje. « Patrzcie — mówią — aniśmy się postrzegli jak nam w literaturze zabrakło literatury, a pozostały jakieś widma reform i systematów. Poważniejsi szukają w niej myśli tendencyjnych, lżejsi wprost zabawki, i byle dowiedzieć się przy końcu książki czy Numa poszła za Pompiliusza, to im i dosyć. Nikt się

niezajmuje tak literaturę jak się nią zajmowano przed trzydzieścia laty, nikt nie szuka piękna i estetycznych przymiotów, czyli innemi słowami mówiąc, nie miłuje, nie czerpi, nie uprawia literatury dla samej literatury. »

Wyraz *tendencja*, jak go teraz rozumieją w kraju mówiąc o literaturze, nie jest niczem strasznym, nawet w oczach cenzury. Wszelki utwór obrazowy, który przez sytuację osób i prowadzenie wypadków wyświeca jakiegokolwiek z obecnych zadań społecznych, w rozległym albo i dosyć szczupłym zakresie, jest tendencyjnym. « *Krewi* » Korzeniowskiego, to powieść z wielu miar bardzo tendencyjna. Można zresztą, jeśli się tak koniecznie zdaje, wszystkie te pasowania się pojęć, przewidywań, mniemań, żądź i tęsknot pragnących odgadnąć dokąd świat i my z nim idziemy, nazwać widmami reform i systematów, bałamuctwem do niczego niewiodącym, bałkami mydłanemi; ale odrzuciwszy ten interes żywym, i niemając z drugiej strony do wyboru jak tylko błyskotną nicość, niegodzi się zarzucać na nią imponującą filozoficznością formuły, żeby pod tym płaszczem podsuwać narodowi próżniejszą od wszystkich widm marę.

Literatura dla literatury, sztuka dla sztuki — to nowe bałwochwalstwo, stawienie nowego bóstwa, jakiego nawet i poganie nie uznawali. Prosty rozsadek i czucie chrześcijańskie oburzają się na to. Cóżby u nas powiedziano, gdyby kto głosił, że rolnictwo jest dla rolnictwa, nie dla żywienia ludzi chlebem? Coby to kogo nauczyło, gdyby kto kazał mu wierzyć, że śpiew ptaka jest dla śpiewu, won kwiatu dla woni? Lepiej nam po prostu i po dawnym mniemaniu, że każdy twór niesie chwałę Panu i składa mu swój owoc. Literatura, którą nazywamy i pokarmem umysłowym, i pieśnią, i kwieciami, niechby nie była u nas bóstwem, ale raczej ofiarą składaną na ołtarzu ojczyzny, z gorącą prośbą o promień z nieba, aby ją zapalał czystym płomieniem na ogrzewanie i oświetlanie znękanego narodu. Dyletantyzm, artyzm fałszywy, egotyczny, pasożytnie krzewiący się po innych krajach, u nas miejsca mieć nie powinien, ani nawet nie może. Komużby on tam przystawał? Chyba jakimś nanośnym albo zwyrodniałym żywiołem. Potomkowie szlachetnych przodków, jeśli ich ostatek fortuny nieochrania, przywiedzeni są do ciężkiej konieczności wybierania między warsztatem rzemieślniczym a pułkiem moskiewskim. Lud — ile go zostaje od rekruta, pomoru i głodu — nie tylko wzdycha i stęka, ale od czasu do czasu zrywa się rozpaczliwie. Nie dziw, że jednym krew bije do serca, drugim zimny pot występuje na czoło; nie dziw, że nikt sobie « nie maluje, nie śpiewa » jak niegdyś. Poważnym krytykom wypadła z rąk miarka estetycznego sądu: mając przed oczyma straszidło krwawe, wynoszą albo poniżają pisarzy wedle tego, jak im się zdaje widzieć w nich obrońców, lub burzycieli porządku społecznego. Zewsząd dają się słyszeć do gwałtowne oburzania się na racjonalizm, to zimne doktrynowanie przeciw zapalowi. Dwoistość objawia się częstokroć cierpko; stara zwada serca z głową, uczucia z rozumem, pokazuje że stanęły dwa punkta sporne, i trzeba zarządzenia złemu, rozwiązania, wykładnika, trzeba po nad temi punktami punktu trzeciego, któryby zaświecił pełniejszą prawdą, a przeto je rozbroił i pogodził. Nie idzie tam o artystyczne objawianie piękna, i nie na tej drodze « jednoci » tak potrzebnej literaturze naszej » szukać należy. W onych też czasach, przed trzydzieścią laty, « kiedy wiersz każdy wielkiego poety brzmiał w ustach wszystkich, kiedy po sto razy odczytywano i przepisywano jedną książkę » nie szło o samą piękność estetyczną. Czyliż istotnie *Pierwiosnek* Adama, jest tak dalece piękniejszy estetycznie od wielu wierszyków Syrokomli, Lenartowicza i innych? Nie, zapewne. Ale że był « uczuty i pojęty serdecznie » to tego jest inna przyczyna, którą tu przypomnieć musimy.

Na pęknięciach i łodach naszego kraju, rozwijał się wtedy ten pączek młodości, którego kwiat miała zerwać wojna i rozszarpawszy rzucić w cztery strony świata. Wiesz, co miał serce i patrzył w serce, wołał do niego: « Zawczasie kwiatku, zawczasie! » a wszystkie dusze tajemną nicią przenizane drgały na te słowa.

Pokolenia przechodzą jedno za drugim, każde z odmienną cechą na czole. Widać, że różne były im przeznaczone prace i losy. To, które ze swoim wieszczem śpiewało hymn młodości, w szacie tułaczkiej i pokutniczej zbliżając się do grobu, tej pragnie pociechy dla siebie na ziemi, żeby w ręce szczęśliwszych następców oddało lampę narodowego żywota. Co oni zrobią? Jakie ich przeznaczenie? To czas pokaże. Tyle tylko, i to na wielkie pokrzepienie nadziei naszych, powiedzieć możemy, że obecne pismienictwo krajowe nie znalazło jeszcze ani tonu, ani tajemniczego słowa, któreby było kluczem do zamkniętej i pozornie zimnej piersi nowego pokolenia. Pierś ta potracona czasem wydaje dorywcze i niestrojne dźwięki, z których wszakże czuć, że przeszłość i przyszłość Polski jest w niej niezamarta.

Cośmy tu o pismienictwie krajowym powiedzieli ogólnie, co z tąd o jego powołaniu i powinności wnosić można, chcemy przedewszystkiem zastanowić do dziennikarstwa, które stawia się jako ognisko ruchu pismienicznego. Bierzemy pod rozważenie trzy odpowiedzialne w tej mierze dzienniki stolicy: *Gazetę Warszawską*, *Gazetę Codzienną* i *Kronikę*.

Dziennik zwykle, to pewna opinia, pewna barwa polityczna. Krajowym dziennikom naszym, mianowicie pod rządem rosyjskim, politycznymi być niewolno, muszą więc chcąc nie chcąc stać w rzędzie literackich, co wszakże, jakeśmy okazali powyżej, bynajmniej niepowinno być czynić ich zupełnie bezbarwnymi, ogołoconymi ze stałych zasad, przeświadczeń i dążeń. Mają one pod tym względem jakikolwiek charakter? Żadnego dopatrzeć się nie mogliśmy. *Kronika* jest wprawdzie obwołaną, i widocznie sama stara się uchodzić za szczególniej katolicką, za mającą wyłącznie obowiązek wspierania i wielbienia katolicyzmu. Dlatego przy każdej okoliczności, kiedy wypada dziennikom warszawskim mówić o jakim obrzędzie uroczystym, o błogosławieństwie danym przez nuncjusza papieżkiego wracającego z Moskwy, o święceniu biskupów i t. p., odznacza się wtedy jakąś dewocją pompą, rażącą czasem retorycznym wylewem na zimno czolobitności i sentymentów synowskich dla kościoła. W dni powszednie, ogranicza się na wtykaniu tu i ówdzie zręcznych moralików, jak np. że « do uzyskania popularności i życzliwości ziomeków, dopomaga Apolinaremu Kątskiemu szczególnie chętność, z jaką ofiaruje swój talent na usługi Boże i cele dobroczynne. » Tych i tym podobnych kokardek niemożna brać za podniesienie samodzielnego chorągwi; są one niewinne i niepotrzebne. Na nieszczęście namnożyło się na świecie protektorów kościoła, a mało jest sług prawdziwie mu pożytecznych. Służyć dzisiaj katolicyzmowi w Polsce, znaczy przedewszystkiem dążyć do odebrania schyzmie władzy nad nim; jeśli kto tego niemoże, a przyodziewa się jakimś oficjalnym znaczeniem, wygląda przeto tylko jak zakryty stan wśród wiernych, który, kiedy ci modlą się szczerze i potulnie, on w swojej komży przechadza się po kościele i zapala świeczki przyklekając przed wielkim ołtarzem. Dwa inne dzienniki, choć się z tém niechwały, niemniej są katolickie jak *Kronika*, niemniej widać w nich dbałość o wiarę przodków. W ogólności, ilekroć idzie o przywiązanie do kraju jako cnotę odporną, bierną, o zacność, uczciwość, moralność powszednią, żadnemu z trzech dzienników nie masz nic do zarzucenia; ale jeśli byśmy wymagali tej cnoty czynnej, któraby umiała znaleźć sposób być czasem mądrze zaczepną, tej uczciwości przezornoj, któraby posunęła się aż do szkrupulatnego wyboru dla swoich feletonów powieści, nie pod samym tylko względem na ich artystyczne zalety, — wtedy rzecz inna, wtedy wszystkie trzy zasługują na ciężkie zarzuty. Trzeba tu jednak oddać tę sprawiedliwość *Kronice*, najmłodszej pomiędzy swemi towarzyszami warszawskimi, że najwięcej bierze na seryo swoje powołanie dziennikarskie. *Gazeta Warszawska*, zamożna w środki materialne, nabytą wziętość i w stół redaktorski silniej obsadzony, zanadto pozwała sobie spoczywać na laurach. *Gazeta Codzienna*, najbiedniejsza, często przy pulsie gorączkowym wygląda tak blade i mizernie, że strach o jej życie. Tyle co do

istotnych odcieni między dziennikami nas tu zajmującymi. Zresztą, dlaczego są trzy, kiedy jeden mogłby więcej zrobić, i kiedy właściwie mówiąc, ledwo dla jednego wystarcza prawdziwej roboty; dlaczego nie idą zgodnie i jeśli się « nie gryzą, wtedy warczą na siebie » — to chyba będąc tam na miejscu można by zrozumieć i osądzić.

Brak troskliwie obmyślonego i dobrze pojętego celu, odbija się w samej zewnętrznej formie każdodziennych pism Królestwa Polskiego. Dowcipnie ktoś powiedział o nich, że « wszystkie są do siebie podobne, jak dawne bułki marymonckie: wszystkie dają też same wiadomości urzędowe, krajowe i polityczne; co w jednej to znajduje się i w drugiej: ciż sami przyjezdni, też same doniesienia o teatrze. Różnią się tem chyba, że jedna drukuje powieść pana K, druga pana B, trzecia pana Z; ta ogłasza korespondencją z Siedlec, tamta z Płocka, owa z Radomia, a wszystkie prawie zawsze o balach na dochód szpitali miejscowych. » Myliłby się wszakże, ktoby mniemał, że przy tej jednostajności przedmiotów, zachodzi we wszystkich jednostajność układu; owszem, podobieństwo ich jest w tem największe, że wszystkie zachowują niesłychany beład w rozdzielaniu, szykowaniu i dobieganiu artykułów. Nie masz tu żadnej stałej zasady, żadnego porządku przyjętego, żadnego gospodarstwa w czterech ścianach arkusza. Nikt niezgadnie dlaczego to jest w feletonie, a owo w samych kolumnach, czyli jak tam nazywają, szpaltach dziennika. Czasami powiastka lub wierszyk zajmują środek, a rozprawa krytyczna stoi pod niemi w odcinu. Czasami dwie powieści, tylko jedna nazwana obrazkiem, druga szkicem obyczajowym, lub podobnie, przebiegają razem w tym samym dzienniku, odgródzone kresą graniczną feletonu. Trudno powiedzieć, czemu listy Kraszewskiego o literaturze, mieszczą się zawsze w feletonie, a podobnej, chociaż mniej stałej treści listy Nowosielskiego albo Padalicy, zajmują same kolumny. Cóż dopiero mówić o tylu rozmaitych tytułach i znaczeniach urywkach, ułamek, wyjątkach, które nawet trudno do jakiegokolwiek kategorii odnieść, bo na przód trzeba byłoby zapytać, po co tu się znalazły. Ten beład, jest niezmiernie nużący dla czytelnika. W redaktorach, którzy niestają się temu zapobiedz, nie masz ani przeświadczenia o ważności dziennikarstwa, ani miłości bliźniego. Zdaje się, że nikt bardziej nad nich nie lekce waży tych ładunków codziennego oświaty, które ruch dziennikarski przenosi szybko w otchłań wiecznego zapomnienia. Ani im przyjdzie na myśl, że biedny bliźni, z krótkiego żywota swojego musi kilka godzin każdego dnia poświęcić, na znalezienie kiedy niekiedy perełki w stosach szmatów, które mu podsuwają. Nieraz odzywano się już z tem, że umysł ludzi czytających same tylko dzienniki, zaciemnia się i tępieje. Pstroczyna i czczość dzienników warszawskich bardzo prędko ten skutek sprawić może. Od nowego roku dają się postrzegać zmiany w urządzeniu kolumn niektórych gazet, ale bynajmniej nie wychodzi to na lepsze.

Głównie i stale utrzymujące się kategorie w dziennikach warszawskich są: Wiadomości Rządowe, Wiad. Krajowe, Wiad. Zagraniczne, Sprawozdania czyli Kroniki tygodniowe, Korespondencje, Gawędy albo Pogadanki naukowe, i Sztuki piękne. Obok tego i między tem, mnóstwo rozmaitego rodzaju rzeczy. Tytuły kategorii czyli oddziałów stałych ułatwiają niemało czytelnikowi rozpatrzenie się w tłumie artykułów; teraz zaczyna wchodzić moda niekładzenia tytułów, bo istotnie bez nich dogodniej dla chcących pisać nie mając ściśle pojętą i do pewnego celu skierowaną myśl. Natomiast upowszechnia się użycie *znaków*, co ma być bardzo szczęśliwym wynalazkiem. Współpracownik dziennika, złapawszy jakąkolwiek wiadomość, mniej więcej ciekawą i właściwą, pisze ją na kawałku papieru, kładąc na początku trójkąt, kółko, kwadrat, lub tym podobny znak, który zdaje się, że początkowo służył tylko dla obrachunku z kasą, przy opłacie od kolumny. Redaktor, albo co pewniejsza, protodrukarni, układa te świstki wedle upodobania, a nie wiedząc dlaczego podobało się kłaść je przed wszystkiemi innemi. Tak tedy na czele dziennika, zaraz po jakimś ukazie

z Petersburga, wpadamy niespodziewanie na wiadomośćkę o książce wydanej w Czechach, o czasopiśmie Serbskiem, o śmierci sławnego numizmatyka cudzoziemca, a wszystko to należy zapewne do wiadomości krajowych, bo zaraz mamy niżej « Część Zagraniczną » po której znowu znajdziemy po kawałku rozmaitych rzeczy obcych i krajowych. Nic bardziej znamionującego jak początkowe kolumny dzienników warszawskich. W żadnym nie takiego, coby miało choć jakikolwiek zakrój na artykuł wstępny. Jeden ma na czele anekdotkę o ministrze *Brühl* albo o hrabinie *Cosel*, wyjętą z *Revue Britannique*; drugi rozprawę o nieporównanej wyższości magika *Frikela* nad szarlatanem *Molduano*, lub coś podobnego. Po takim zaczęciu, można spodziewać się, że to jest pismo mające poczucie swego przeznaczenia; pismo, które po za obiegami w kawiarniach i piwiarniach warszawskich, widzi przed sobą drogę na Żmudź, na Ukrainę, na Podole? Ograniczenie się widokiem samej stolicy, oddychanie tylko powietrzem miejskiem albo cudzoziemskim, to główna przyczyna tego zamętu i ośnienia. Jakie napadły dzienniki warszawskie. Lepiej da się to widzieć w uwagach nad składowemi ich częściami.

Pomijamy Wiadomości Urzędowe, Krajowe i Zagraniczne; bo chociaż o tych ostatnich byłoby coś do powiedzenia, a nie wiedząc ile na karb dobrowolnego nie dbaństwa, a ile na ostrość cenzury położyć, wolimy tej materii nie tykać.

Po odrzuceniu z jednej strony rzeczy urzędowych i politycznych, jako nieuległych robocie redakcyjnej, a z drugiej, wszelkich pożyczonych, kupionych lub Bóg wie jakim prawem wziętych od literatury nabytków, w tem co pozostaje właściwą dziedziną dziennikarstwa krajowego, pierwsze miejsce należy się sprawozdaniom tygodniowym. Są one najczystszy jego owoc, i noszą na sobie najwybitniejszą cechę jego usposobień. Umieszczane zawsze w kolumnach środkowych, mają wszakże być twojem arcy feletonowym. Sprawozdawcy ciągle nazywają siebie feletonistami, i na mocy tego tytułu ogromne przypisują sobie przywileje. Prototypem ich jest *Gwiazdka Gazety Warszawskiej*. Autor drukujący pod tym znakiem swoje sprawozdania czy feletony, tak w różny sposób obraca tem świecącym mianem, że niewiadomo czy pod niemi siebie samego, czy swoje pismo rozumie. Zdaje się, że publiczność nawykła to oboje brać za jedno, i oboje dosyć lubi. Gdyby było inaczej, *Gwiazdka* nie miałaby tego znaczenia jakie ma w *Gazecie Warszawskiej*, gdzie jest niby państwem w państwie, dziennikiem w dzienniku, ma swoje osobne biuro korespondencyjne, swoją wyłączną trybunę do przemawiania od siebie. Co tydzień tedy feletonista gwiazdkowy, rozwala się na kanapie przed publicznością i pocyna odczytywać mnogie listy, najliczniejsze od łaskawych, kochanych, pięknych czytelniczek. Jednej odpowiada cierpko, drugiej rozwiązuje moralno filozoficzne zadanie, trzeciej z dwuznacznością nieprzyswoitą mówi, że wolalby z nią porozumieć się inną, *niedrukowaną drogą*. Pomimo to, *Gwiazdka* często wspomina o swojej podłyśiałej głowie, i bardzo surowo przestrzega obyczajów. Bywa przeto rozsądnym i wymownym moralistą, karcie w imię « bogów domowego ołtarza » i « miłości rodzinnej ziemi »; ale coż złąd, kiedy widocznie moralista sam żartuje i z siebie i z tych, którym morały prawi. « Rzucilem — powiada — garść grochu na ścianę, a teraz podam wam gromadę nowin, jak piramidę karuwałówych pączków » — i zaraz przywdziawszy « barwę brukowego sprawozdawcy » puszcza się swoim zwyczajem w rozwleklą i próżną gadaninę, nużąc ciąglem siłeniem się na dowcip, który prawie zawsze jest błahy i płaski. Feletoniści warszawscy, nawet po procesie *Lecomta*, oglądający się na feletonistów paryzkich, jak na wznośne i godne naśladowania wzory, wyrobili sobie jeszcze jakieś szczególne pojęcie swego fachu czy rzemiosła. Uroilo się im, że koniecznie powinni być czemś naksztalt dawnych trefnisiów nadwornych, a przeto częstokroć spadają jeszcze niżej. Nie płocze bowiem i mniej więcej niezgrabne dowcipkowanie, nie próżne i pretensjonalne gadulstwo,

jest rzeczą najniższą, ale jakieś bezmyślne, grzeszne, nieprawie zadowolenie. Ten ton razem żartu i zadowolenia tak z siebie jak ze wszystkiego co otacza, ton mający w sobie coś złowieszczonego jak kaszel suchotnika, na nie szczęście jest panującym w dziennikarstwie warszawskim. Niemalże zapewne przyczynia się do tego atmosfera miejscowa, wyziewy zgnie i zaperfumowane osobliwego w swym rodzaju miasta; trzeba jednak wyznać na pociechę, że wychodzą z publiczności głosy do panów feletonistów z przestroga, upomnieniem, prośbą o poprawę. Nic to niepomaga. Gwiazdka w żaden sposób niechce, czy nie może zrozumieć, że nie idzie tu o narzucenie jej jakiegokolwiek « katońskiego » powagi, ani o wyłączenie z dzienników wesołości, lekkości, przyjemności stylu; ale o co innego, czego wyrażnie i w oczy powiedzieć niemożna. Kiedy w czasie ostatniej wojny, cudzoziemcy mówili nam, że nieznamy swego kraju, że mamy o nim przestarzałe wyobrażenia, że Polacy pojednali się już z Rosją, niemyślnie wcale o niepodległości, bardzo są radzi ze swego położenia — wtedy poglądając na dzienniki warszawskie, opromienione światłem Gwiazdki, musieliśmy uniewinniać potwarcze zdania obcych. Ale cóż począć! Autor Gwiazdki zawsze utrzymuje, że darmo gazetowi i poufni krytycy, chcą « dodać poważny ogon komety tej małej, efemerycznej istocie »; a sprawozdawca Gazety Codziennej tłumaczy się w sobie właściwy sposób. Zdaniem jego, feleton jestto wynik chwilowy, chwilowego usposobienia feletonisty. Jeśli feletonista jest kwaśny lub ma próżną głowę, to i feleton taki być musi, a czytelnicy niech wybaczą. Zresztą zakresem feletonu są « zaskorupiałe ramki miejskiej pogadanki, a przedmiotem ciasne kółko ślimaczego życia, i feleton staje się wyższym nad przedmiot, gdy pusty jak orzech dziurawy »! O feletoniście trzeciego dziennika, nie będziemy tym razem mówili, i jemu wszakże niemożemy przyznać podnioslejszego tonu. Za przykładem stolicy idą miasta i miasteczka prowincjonalne królestwa. Na obraz i podobieństwo *Gwiazdki*, kształcą się *Pszczółki*, *Pajaki*, i różni bezimienni korespondenci gazet.

Korespondencje, drugi oddział dziennikarstwa, stanowią jedną z najważniejszych jego części, chociaż ta ważność zdaje się być na miejscu niedosyć postrzegana i cenniona. Wszystkie trzy dzienniki mają korespondentów po znaczniejszych miastach Europy; ale zdaniem naszym daleko więcej cieszyć się należy z nawiązania znacznej ich liczby o rzeczach krajowych piszących. Zapewne, wiele tu jest wad do wytknięcia, wiele popraw do życzenia; redaktorowie mogliby też wskazać swoim korespondentom, przezornie obmyślany wybór przedmiotów, prosić ich o stałe względy dla ważniejszych, miejscowych potrzeb i widoków, niekoniecznie wreszcie drukować *in crudo i hurtem* wszystko co oni nadeszłą. Z drugiej strony korespondenci powinni by otrzymać się z niewolniczego zapatrywania się na stolicę, nie mieć przed oczyma tylko Warszawy i jej publiczności, ale pamiętać, że ich listy cały kraj będzie czytał. Pod tym względem, w stosunku kwadratów odległości od środka, korespondencja krajowa technicznie coraz zdrowszym, swobodniejszym, bardziej ziemianiskim, a zatem i więcej rodzinnym powietrzem. Korespondencja miast królestwa, wyglądają szczególnie na komisarzy jakiegokolwiek spółki zajmującej się upowszechnieniem zabaw, którzy w raportach swoich spieszą donosić metropolii, o wzrastającej liczbie resursów, balów, koncertów, widowisk teatralnych, i t. d. Wszyscy na wzór feletonistów warszawskich, w potrzebie trochę poważniejszego tonu, uciekają się do « celów dobroczynnych », a w zupełnym niedostatku materyi, spadają ze skalpelem krytycznym na pierwszą lepszą z nowo ogłoszonych książek.

Rzecz godna uwagi, że w dziennikarstwie opartem na literaturze i sztukującym się literaturą, nie masz nawet oddziału, poświęconego jeśli nie krytyce w całym znaczeniu tego wyrazu, to przynajmniej porządnemu przeglądowi piśmiennictwa polskiego. O krytykę niełatwo; bo jak mierzyć niemając w rękę pewnej miary? a ta wido-

cznie dzisiaj zatracona, i z samych estetycznych pojęć wyciągnięta dla nas być niemoże; ale zapewne pobieżna recenzja dałaby się zsząć w głębsze i prostsze koryto; wreszcie należałoby zawsze mieć gotowy i oczyszczony plac dla polemiki literackiej: przecież to jeden z punktów żywotnych krajowego dziennikarstwa dzisiaj. Od wyjazdu pani Ristori, dopiero po raz pierwszy w dziennikach warszawskich zabłysnął znowu interes i ton podnieślej, kiedy wszczęła się polemika pod godłem imion dwóch znakomych pisarzy.

Trzeci oddział stanowią *Gawędy naukowe*: rodzaj wyborny, dziennikarstwu naszemu w kraju bardzo właściwy, niesłusznie zapędzony w kąt odcinka, wart stalego miejsca i starannej uprawy w samych kolumnach.

Sztuki piękne, czyli sprawozdania z postępu i rozwijania się u nas malarstwa, rzeźby i muzyki, wymagałyby tu powiedzenia naprzód cokolwiek o samych sztukach w stosunku do naszego kraju. Poprzestaniemy teraz na wzmiankę, że redakcje warszawskie mają w tym oddziale miejscowych współpracowników, którzy prócz znawstwa swego przedmiotu, posiadają trafność sądu i niepospolity talent pisarski.

Reszta, rozmaitego tytułu i rodzaju artykułów, na nie szczęście, zdaje się być uważaną za coś przypadkowego, za mniej więcej pomyślny nabytek, za mniej więcej dogodny balast do zapychania próżni w codziennych ładunkach. Redaktorowie chowają je najczęściej dla pozbycia się natrętnych posłańców z drukarni; bez względu na wagę traktowanej w nich rzeczy i na mordowanie pamięci czytelnika, niekiedy po bardzo długich przerwach, dobywają z nich część i traktują ją publiczność. Między temi artykułami bywają prace godne słusniejszego z nimi postępowania, bądź jako pomysł i zamiar, bądź jako wykonanie, bądź zresztą jako przedruk ciekawego rękopisu, lub pamiętnika. Przypominamy tu sobie pełną zalet i znacznej objętości pracę o *Prusiech Południowych*; mamy na myśli opisy prowincyi naszego kraju, doniesienia postrzeżeń etnograficznych z podróży po dawnych ziemiach Polski, i t. d. Wszystko to są godne żalu ofiary poświęcane żarłoczności prasy codziennej. Niech sobie całe romanse i powieści płyną przez feletony na zatrąte; mniejsza o to: księgarze dadzą nam je w czysto odbitych tomach; ale za cóż te skromne a pożyteczne i przydatne urywki, mają przepadać bezpowrotnie? Kto sobie przypomni, albo dowie się że były kiedykolwiek, kto potrafi je odszukać? Miejsce dla nich byłoby właściwsze gdzieindziej, w Bibliotece Warszawskiej, w Dodatku miesięcznym do Czasu. Jedną z największych przyczyn, że pisma zbiorowe zakwitnąć u nas niemożę, jest osuszanie ich przez pisma codzienne, ze szkoda publiczną. Zakończmy ogólną uwagę.

Dziennikarstwo warszawskie, niesłusznie przypisuje sobie ogromne znaczenie literackie; niezawodnie jednak oddaje literaturze pewne usługi, a mogłoby oddać nierównie większe, gdyby będące pod ręką środki należały do użytkowane były. Jest nabyta publiczność w całym kraju, są udeptane ścieżki korespondencyjne, jest upowszechniona wprawa do pisania i są poskupiane już w świetne pęczki znakomite i tóra. Nie masz tylko czegoś co nam zawsze niedopisuje i we wszystkim do osiągnięcia owocu przeszkadza. Nie masz pewnego zmysłu gospodarności i ład, bez których tak z materyalnych jak z umysłowych bogactw korzystać niepodobna; nie masz energii do wypracowania sobie jasnego pojęcia celu, i skierowania ku niemu wszystkich środków; na koniec, nie masz podobno — co już byłoby najgorzej — tej gorącej a wytrwałej miłości dobra publicznego, która sama tylko wszelki szlachetny zamiar zdolna jest wydzwignąć po nad zamęt poziomych widoków i drobnych interesów.

Redaktor, FELIX WROTNOWSKI.